

ZŁOTE CZASY

Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku wybrałem się z zakopanej w torfowiskach dziury, w Smålandii do Göteborga. Słyszałem, że to piękne miasto, wiedziałem, że jest to drugie co do wielkości miasto w Szwecji. Uważałem więc, że zwiedzenie go warte jest zachodu. Miałem sporo pieniędzy i dopóki ich starczyło, dopóty Göteborg był przyjemny i przyjazny. Gdy skończyły się pieniądze, bruk pod stopami stwardniał, a od Morza Północnego nadciągnął deszcz. Zacząłem źle się czuć w Göteborgu. Pomyślałem, że śmierć głodowa jest śmiercią nieprzyjemną, i poszedłem do urzędu pracy, by postarać się o jakąś robotę.

W urzędzie pracy udałem się do wydziału leśnego. W poczekalni stwierdziłem, że poszukujący pracy mają do wyboru dwoje drzwi...

Na jednych był napis: „Wydział wykwalifikowanych drwali” — na drugich zaś: „Wydział kursów przygotowawczych dla drwali”.

Widziałem, że ten i ów samotny nieborak znika w drzwiach przeznaczonych dla wykwalifikowanych drwali, większość interesantów wchodziła jednak przez drzwi prowadzące do wydziału kursów.

Przyłączyłem się do tych mniej licznych — wszedłem przez drzwi dla wykwalifikowanych. Wyrosłem przecież w kamienistej wiosce w Norrlandii, gdzie mir w gromadzie zależny był od tego, ile drzew kto potrafił zwalić w ciągu dnia. Nie bez kozery więc uważałem się za wykwalifikowanego robotnika leśnego.

Roboty było dość. Roboty było aż za dużo. Spółki leśne i prywatni właściciele, wszyscy wniebogłosy wołali o drwali. Gdy się już jednak upewniłem, że wszędzie, w całym kraju, drzewa czekają na drwali, wywiązał się między człowiekiem siedzącym za biurkiem a mną żałosny dialog. Urzędnik pytał, a ja odpowiadałem:

- Macie pościel?
- Nie.
- Macie narzędzia i garnki?
- Nie.
- Macie pieniądze?
- Nie.

Starczy. Pytania urzędnika w pełni odsłoniły przede mną głębię mojej nędzy. Wyszedłem z biura przygnębiony. W poczekalni usiadłem na ławce, by przemyśleć całą sytuację. Sprawy nie wyglądały zbyt różowo. Znajdowałem się w bezlitosnym, smaganym przez deszcz mieście, bez mieszkania, bez pieniędzy, bez pościeli i bez narzędzi. Snując smętne marzenia o jedzeniu i pieniądzu, bąknąłem — ot, aby coś powiedzieć — do bezrobotnego, który siedział obok mnie:

— Te kursy dla drwali, co to właściwie takiego?

Po chwili wiedziałem już wszystko o kursach dla drwali. A potem wszedłem — już bez wahania — do biura kursów i oddałem tam kartę z pośrednictwa pracy, w której określono mnie jako robotnika niewykwalifikowanego.

— Czy pracowaliście już kiedyś jako drwal? — zapytał człowiek zza biurka. Odpowiedziałem, że nie, i sprawa załatwiona. Przyłączyłem się do gromady kanciarzy, od których już i beze mnie aż się roiło w społeczeństwie, i przyszłość miałem zapewnioną. W niespełna dziesięć minut otrzymałem bilet kolejowy do Dalarny i wszelkie informacje mogące mi ułatwić dotarcie do miejsca przeznaczenia. Załatwiono mnie doprawdy wspaniale, czułem dużą wdzięczność dla mądrych ludzi, którzy zorganizowali te kursy. Jedynym warunkiem otrzymania zatrudnienia i pieniędzy na drogę była całkowita niewiedza, jak się

wykonuje robotę, do której się zgłosiłem. Taki warunek zawsze łatwo spełnić.

Wieczorem tegoż dnia wyruszyłem w drogę. Na drugi dzień byłem już na miejscu, w baraku, gdzie instruktor wpisał mnie na listę. To on miał zrobić ze mnie drwala, on też przywitał mnie i wydał mi narzędzia, a ja słuchałem uważnie, jak to robi człowiek, który chce się czegoś nauczyć. Na ogół byłem zadowolony z wszystkiego. Istniały może powody do utyskiwania na jakość narzędzi: piła miała staromodne i niezgrabne wygięcie, a siekiera była za ciężka. Ale cóż, darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Po tygodniowym pobycie w baraku zrozumiałem wiele spraw, przedtem dla mnie niejasnych. Po dwóch tygodniach należałem już prawie do weteranów kursu. W tym okresie pięciu ludzi skończyło kurs i zostało zastąpionych przez pięciu nowicjuszy. Weteranów, takich, którzy przebywali w baraku dłużej niż ja, było czterech: Anders, dziwny, milczący osobnik, który nie miał wobec życia większych wymagań, jeśli ilość białego pieprzu i musztardy przy posiłkach była wystarczająca, Sven, młody chłopak z Göteborga, który mimo młodego wieku rozumiał mądrość słów ewangelisty, że wszystko jest w końcu tylko uganianiem za wiatrem. Toteż nie uganiał ani za wiatrem, ani za drzewami w lesie. Był leniwy. „Chochlą” nazywano trzeciego weterana. Nigdy nie dowiedziałem się, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko. Mówiono na niego „Chochla” i tyle. Był wielki, barczysty, miał końskie zęby, może tylko odrobinę bielsze niż u konia. Ze Svenem łączyło go lenistwo, a napomnienia instruktorów przyjmował z niewzruszonym spokojem. Czwartym weteranem był eks-włóczęga, mówił, że nazywa się Nilsson. Żył w baraku najdłużej, chyba ze dwa miesiące — co imponowało mi tym więcej, im lepiej poznawałem tok szkolenia drwali.

— Jestem już za stary na tułaczkę — mawiał Nilsson, jak gdyby usprawiedliwiając się, że tak długo mieszka w baraku. Co wieczór opowiadał jakiś epizod ze swego

włóczęgowskiego życia, czasem aż się dziwiłem, ileż on zdążył przeżyć w ciągu swoich sześćdziesięciu lat. Może trochę zmyślał, by nam dostarczyć rozrywki. W lesie nie dokonywał żadnych bohaterskich wyczynów. Rąbał tyle, by mu starczyło na strawę i tytoń. W ten sposób codziennie wyrabiał on dwie korony z groszami, które państwo płaciło jako zasiłek przeszkoleniowy. Był to stary tramp, włóczęga, a teraz, gdy w kraju zabrakło drzewa na opał, państwo uznało nagle za stosowne uczyć go rąbania lasu. Moim zdaniem w stosunku do tego dziadka popełniono błąd. Stał już nad grobem, a tu nagle: ucz się zawodu — przed ostatecznym opuszczeniem ziemskich pieleszy i udaniem się na szlak niebiańskiej włóczęgi.

Ci czterej byli weteranami kursu, ja zostałem piątym. Przybierałem na wadze i dobrze się miałem. Nie rąbałem dużo, a w każdym razie nie tyle, by można mnie było uznać za wykwalifikowanego drwala. Instruktor, odbywając swe codzienne obchody, próbował oczywiście dopomóc mi, jak i wszystkim innym, w osiągnięciu lepszych rezultatów, pokazywał różne finezyjne sztuczki drwalskiej roboty. Ale instrukcje te nie prowadziły jakoś do przyspieszenia tempa naszej pracy. Pewnego dnia zaskoczył nas leśniczy, przyszedł skradając się między drzewami, był wyraźnie niezadowolony, nie mógł jednak nic powiedzieć, wszyscy przecież uczyliśmy się dopiero swej pracy.

Na brak zapalału wpływał także rodzaj lasu, w którym kazano nam pracować. Wysoka i pozbawiona gałęzi sosna to coś wspaniałego, gdy się takie drzewo zobaczy ostemplowane, nabiera się ochoty do rąbania. Ale świerk złożony z samych tylko gałęzi, nie mający wcale pnia, nie może uradować duszy żadnego drwala. A na naszym wyrębie ostemplowanych było kilka lichych świerczków, jakaś nędzna, zahamowana w rozwoju sosenka, tu i ówdzie jakaś brzoźka i więcej nic. Macherzy ze spółki leśnej wykalkulowali, że trzeba nas, którzy i tak w pewnej mierze utrzymywani byliśmy przez państwo, wykorzystać do oczyszczenia ich lasu z wszelkich nieudanych plodów natury. W wyniku tego z dnia na dzień lepiej opanowywa-

liśmy sztukę lenistwa, a ilość zrąbanych kubików rosła bardzo powoli.

Jedną rzeczą, która przedstawiała się rzeczywiście wzorowo, było wypełnianie blankietów i formularzy. Nasz instruktor pisał swoje raporty z energią rozpaczy. Co tydzień wpisywał nowe nazwiska, lecz kubików drzewa jakoś nie przybywało. Instruktor nie cierpiał tych ciągłych raportów. Był to człowiek praktyczny, a nie z tych zakutych biurokratów, lubujących się w papierkach. Chciał pewnie mieć więcej zrąbanego drzewa, a mniej raportów do pisania. Był przy tym trochę naiwny: spodziewał się całkiem serio, że prędzej czy później pojawi się w naszym baraku prawdziwy zuch, drwał, który skrzętnie zmieniać będzie nędzne świerczki spółki leśnej w kubiki gotowego drzewa — wiele kubików dziennie, a przez tydzień jeszcze więcej. Jednak każdy zjawiający się w baraku nowy przybysz stawał się dla naszego instruktora nowym rozczarowaniem.

Było nas zatem pięciu weteranów w baraku, i instruktor zaczął już nas uważać za stały inwentarz. Na kursie trzymała nas właściwie najbardziej wygoda. Nie mieliśmy tyle energii i ambicji co ci bezrobotni blacharze i szewcy, którzy przychodzili do baraku, by po kilku zaledwie dniach odjechać z powrotem. Podróże są uciążliwe. Nie tęskniliśmy do podróży, bez żalu pozwalaliśmy upływać dniom — własna prycza, jedzenie, w baraku ciepło... Może zostalibyśmy na kursie aż do końca jego trwania, gdyby pewnego dnia Sven nie złamał piły. Pracował wtedy przy ścinaniu jakiegoś opornego świerka, w pasji za mocno pchnął piłę do przodu, aż klinga pękła. Zebrał narzędzia i przechodząc koło nas powiedział:

— Idziemy do domu...

Była dopiero druga po południu, ale poszedłem do domu. Tak samo zrobili „Chochla” i Nilsson. Jakby kierowani jakimś cichym porozumieniem, wszyscy zabraliśmy z sobą narzędzia. Nim doszliśmy do baraku, ustalone zostało, że jedziemy. Na pewno można znaleźć gdzie indziej lepszą robotę. Nie ma wątpliwości! Sven mówił, że kursy

dla drwali są w wielu miejscach, a jeśli tak, to dlaczego nie mielibyśmy przewyciężyć lenistwa i popodróżować trochę. Przez dwa dni leżeliśmy jeszcze w baraku beczynnie, czekając na wypłatę i zasiłek przeszkoleniowy, pakowaliśmy manatki i rznęliśmy w karty, podczas gdy instruktor próbował namówić nas do pozostania. Nie powiodło mu się jednak. Odebraliśmy pieniądze, instruktor powypełniał listy, blankiety i formularze stwierdzając, że skończyliśmy pracę, a potem ruszyliśmy w drogę.

Pojechaliśmy do Falun.

— Jak długo właściwie może trwać taka nauka? — spytałem, gdyśmy się już rozsiedli w przedziale.

— W pełni wyszkolonym nie będzie się nigdy — odpowiedział Sven. — To taka robota, której można się uczyć Bóg wie jak długo. Zasiłek przeszkoleniowy dostaje się oczywiście tylko przez jakiś czas, ale znam gościa, który jeździł po kursach dla drwali ponad rok... Jak tylko wyszkolił się na dobre w jednym okręgu, jechał do drugiego i starał się o nową kartę skierowania, a potem znów uczył się tego samego od początku.

— Rujnujemy państwo — zauważył „Chochla”.

Potem rozmawialiśmy o innych sprawach, a pociąg odrabiał drogę do Falun. „Chochla” i Anders mówili, że jak tylko przyjedziemy do miasta, pójdą na piwo, którego już dawno nie kosztowali. Nilsson nie zwierzał się, co zamierza robić. Opowiadał tylko o tym, co przedtem w życiu robił. Nazywało się to „wyciąganiem wspomnień”. Nilsson nie umiał w ogóle o niczym innym mówić, potrafił tylko „wyciągać wspomnienia”, ale wcale nie były nudne, można go było słuchać.

W Falun paczka rozpadła się. „Chochla” i Anders wylądowali w knajpie. Ja też spędziłem tam z nimi pierwszy wieczór, później jednak rozstaliśmy się. Dokąd poszli Nilsson i Sven, nie wiem. Mieli może w Falun jakieś znajomości, które teraz odświeżali. W każdym razie zostałem sam i przez cztery dni odwalałem swą drogę życiową w pojedynkę. A potem musiałem zrezygnować, powiedzieć sobie: „Stop!... Znów jesteś bez pieniędzy!”

Poszedłem więc do urzędu pracy i zapytałem o kurs dla drwali, jak przystało na kogoś, kto nie ma ani pieniędzy, ani garnków, ani narzędzi. Zostałem przyjęty życzliwie, otrzymałem bilet, skierowano mnie na kurs dla drwali pod miastem. Wracając z urzędu pracy, minąłem się z Nilssonem, siedł tam w tej samej sprawie. Na stacji spotkałem „Chochlę”, Andersa i Svena. Wszyscy mieli bilety na różne kursy dla drwali. Podaliśmy sobie ręce na pożegnanie, mówiąc sobie nawzajem:

— Może się jeszcze gdzieś spotkamy, w jakimś baraku.

Tak, to było całkiem możliwe. Poznawałem teraz coraz lepiej tajniki kursów dla drwali. Zacząłem pojmować sens. Krajowi dawał się we znaki brak opału, my mieliśmy ten opał produkować. A więc jak kraj długi i szeroki, siedzieli w barakach instruktorzy i pracownicy pisali swoje tragiczne raporty, które w większości wypadków przypominały raczej listy gości w hotelach turystycznych niż listy zatrudnionych z miejsca pracy. W biurach centralnych rosły paczki papierzyśk wykazujących, jak to ludzie zaczęli kursy dla drwali i kończyli je, i znów zaczęli, i tak dalej, i tak dalej — bez końca. Ujawniały one, jak to leśni bohaterowie narodowi niby poszukiwacze złota w Klondyke krążyli z miejsca na miejsce na koszt państwa. Leśnicy załamywali się nerwowo, a całe zastępy urzędników miały ręce pełne roboty, zajmując się jedynie papierkami dotyczącymi naszych podróży i naszej pracy.

Mój pociąg odchodził najwcześniej.

— Przenieś się na mój kurs, jeśli tam, dokąd jedziesz, będzie nieszczególnie — powiedział Sven, gdy już wsiadłem do wagonu.

— A ty przenieś się na mój, jak twój będzie kiepski — odpowiedziałem. Zaraz potem pociąg ruszył i znów byłem w drodze do nowego baraku. Za chwilę także moi koledzy rozjadą się, każdy w swoją stronę.

Tak! Spotykałem ich później na innych kursach. Mieszkałiśmy razem w innych barakach, tydzień tu, tydzień tam. Na „Chochli” państwo stale traciło — to chyba jasne! Z Andersa państwo nie miało żadnego pożytku. Nilsson też

nie był podporą, jakiej kraj potrzebował w tak ciężkich czasach. Sven nie okazał się bynajmniej pełnym energii, mocnym typem, którego tak chętnie chcieliby w nim widzieć instruktorzy i leśnicy. Mimo wszystko my właśnie mieliśmy dostarczyć krajowi opału. Łamaliśmy piły, szczerbiliśmy siekiery i żarliśmy jak strusie. Przenosiliśmy się niestrudzenie z baraku do baraku, wciąż żywiąc nadzieję, że gdzieś będzie lepszy wyrąb. Jeździliśmy autami, autobusami i kolejami. Jeździliśmy po to, by był opał, by było czym palić w kamiennych miejskich domach. Dostawaliśmy bilety kolejowe, jedzenie, ciepłe pomieszczenie, narzędzia i zasiłki przeszkoleniowe. Państwo dbało o to, by w każdym baraku była kucharka, państwo troszczyło się o to, by na każdej pryczy był koc. W ten sposób żyliśmy i dawaliśmy sobie jakoś radę — choć nie można powiedzieć, żeśmy się bogacili. Jeśli dumaliśmy nad czymś, to właśnie nad tym, jak sobie radzą wykwalifikowani drwale, właściwie to tylko oni zaopatrywali kraj w opał, ale nie dostawali ani koców, ani biletów kolejowych.

Lecz na ogół nie mędrkowaliśmy zbyt dużo. Pozwalaliśmy dniom płynąć, jak same chciały, pozwalaliśmy, by myśleli za nas ludzie wypełniający blankiety i formularze. Były to złote czasy dla nas, dla wszystkich, którym powinęła się w życiu noga. Bez troskie dni turystów najuboższych, ze wszystkich, jakich kiedykolwiek oglądał nasz kraj.

Przełożył Zygmunt Łanowski